

Wzbierająca fala

Marie Brennan

Tymczasem w górach na północnych kresach Rokuganu...

Człowiek ostrożniejszy – albo mniej zdeterminowany – nie opuszczałby Shiro Mirumoto tuż po pierwszych roztopach. Ostatnia zima była bardzo surowa, nawet jak na standardy Klanu Smoka, i choć powoli zwalniała bezlitosny ucisk, wciąż daleko było do wiosny. Wzdłuż ulic ciągle piętrzyły się zwały śniegu odgarnianego pracowicie przez wyposażonych w łopaty *heiminów*, a nocą ziemia zamarzała w miniaturową replikę gór, gdy mróz ścinał błoto w maleńkie szczyty i wąwozy.

Mirumoto Masahige wołałby zaczekać z wyruszeniem w drogę tydzień albo i dwa. Nie tyle ze względu na siebie, choć z upływem lat jego członki robiły się coraz bardziej sztywne, ale przez wzgląd na swoją świątę. Ryzykował ich życiem, wyruszając tuż po równonocy, i doskonale o tym wiedział.

Ale opóźnienie mogło spowodować na cały klan jeszcze większe nieszczęścia. Ponadto, Masahige dobrze wiedział, że wystarczy słowo, a jego drużyna wiernie ruszyłaby za nim o dowolnej porze, nawet w paszczę śnieżycy.

Oczywiście nigdy nie uraziłby ich honoru prośbą. Osiedłali więc konie na dziedzińcu zamku i ruszyli do miasta poniżej, w dół głównej ulicy aż do bramy – siedmioro *bushi* i ich *ashigaru*. Mieszkańcy miasta ustępowali im z drogi. Masahige miał nadzieję, że taka świta wystarczy podczas szybkiej i dyskretnej podróży na północny zachód, chociaż nawet w dobrych latach góry Smoka to nie bezpieczne pola Żurawia, a po tak ciężkiej zimie trzeba szczególnie mieć się na baczności.

Rozmyślając o niebezpieczeństwach czających się wśród gór, prawie nie zauważył zagrożenia, które miał przed samym nosem.

Z całej siły ściągnął wodze. Jego wałach zaczął się cofać, rżąc i drobiąc na boki, aż pośliznął się na zmrożonym błocie. Masahige zeskoczył, przetaczając się przez bark – gdyby został w siodle, upadający koń złamałby mu nogę. Przeraźliwy kwik konia, który zagłuszył klekot zbroi na bruku, sugerował, że wałach miał mniej szczęścia.

Co z dzieckiem...

Zanim jeszcze podniósł się z ziemi, Masahige poszukał wzrokiem dziecka, które prawie stratował. Zobaczył, że dziewczynka klęczy pokornie na poboczu drogi, całym ciałem wyrażając skruchę. Miała może dwanaście lat, nosiła proste kimono i *hakamę* ucznia szkoły *bushi*. Czoło wgniatała w błotnistą ziemię.

– Mirumoto-ue, zechciej wybaczyć moją beztroskę!



Masahige podniósł ją, szukając wzrokiem obrażeń.

– Czy coś ci się stało?

– Nie, mój panie. I nie ma usprawiedliwienia mojej nieuwagi. Wybacz mi!

Poczuł, jak po jego ciele rozlewa się ulga. *Gdybym skrzywdził dziecko...*

– Panie – zawołała jego *hatamoto*, Mirumoto Hitomi, stając nad powalonym koniem. – Rakusetsu jest poważnie ranny, chyba nie uda się go uratować.

Masahige chętnie wymieniłby dwanaście koni na życie jednego dziecka. Skądkolwiek brała się klątwa ciążyąca na Klanie Smoka, jakkolwiek obraził on Fortunę Płodności, nieszczęście dotykało tylko ludzi, nie zwierzęta. Konie, wilki i niedźwiedzie mnożyły się bez przeszkód, a ludzi z każdym rokiem ubywało. Bezpłodność prześladowała ich już od stulecia albo i dłużej, nim przenikliwi Kitsuki w ogóle zauważyli problem. Ale obecnie nie dało się go już przegapić. W Klanie Smoka rodziło się za mało dzieci.

Problem był szczególnie poważny wśród samurajów i Smok musiał przedsięwziąć drastyczne środki. Dziewczynka, którą prawie stratał Masahige, mogła równie dobrze mieć szlachetne pochodzenie, jak być chłopską córką, w której jakiś *shugenja* z rodu Agasha zobaczył siłę ducha pozwalającą zabrać ją, wyszkolić i uczynić samurajem.

Nie dało się tego ustalić na oko i po prawdzie Masahige wolał nie wiedzieć. Odzyskał rozum i godność, więc odstąpił na stosowniejszą odległość.

– Na przyszłość musisz być ostrożniejsza. Bushi nie lęka się niebezpieczeństw, ale jest stale świadom swojego otoczenia – powiedział.

Raz jeszcze dotknęła czołem błota.

– *Hai*, Mirumoto-ue.

– Idź – powiedział Masahige. Dopiero kiedy się oddaliła, odwrócił się do Hitomi i konia. Natychmiast zrozumiał, że nawet najzdolniejszy lekarz nie uratuje wałacha. Leczenie trwałoby zbyt długo i nawet gdyby ująć pęcinę konia w łupki, by odciążyć złamaną nogę, już nigdy nie poniesie jeźdźca. Tylko modlitwa *shugenja* mogła coś tu zdziałać. Ale Masahige wzdrygnął się na samą myśl, że mógłby zwrócić się do *kami* z tak drobną sprawą. I to w czasie, gdy Niebiosa zesłały na Smoka karę za jakiś nieznany grzech.

Sam zajął się sprawą, podcinając gładko gardło Rakusetsu, by oszczędzić mu cierpień. Potem podał Hitomi zakrwawiony nóż i wszedł do najbliższej świątyni. Zaczepnął wody ze zbiornika i oblał dłonie oraz ogoloną głowę, a potem poszukał mnicha, by papierową pałeczką oczyścić go ze skazy śmierci. Zanim rytuał się skończył, jeden z samurajów zdążył pojechać do zamku i wrócić ze świeżym koniem. Masahige znów wskoczył na siodło. Nad Shiro Mirumoto zbierają się czarne chmury i trzeba rozmówić się z czempionem klanu, zanim będzie za późno.



Śmierć wałacha zaniepokoiła całą świtę. Nikt nie powiedział tego wprost, ale wszyscy częściej odmawiali modlitwy i przystawali, by składać ofiary w przydrożnych kapliczkach. Podróż rozpoczął pierwszy zły omen, a kiedy dotarli do Wioski Strzelistej Sosny, natrafili na kolejny.

– Gdzie się podziało drzewo? – zapytała nagle Hitomi, przerywając ciszę, w której wędrowali przez większość popołudnia. Na wschód od wioski, na stromym zboczu rosła od zawsze samotna i dostojna sosna, widoczna z wielu mil. A teraz było puste.

Mrużąc oczy, Masahige zdołał dostrzec wystrzępiony, czarny pień. Samuraje za jego plecami zaszemrali, ale zaraz ucichli.

Wczesnym wieczorem minęli szczątki drzewa. Najwyraźniej obaliła je zimowa śnieżycą, a heimini odrąbali już spore kawały powalonego pnia. Masahige wezwał swojego sekretarza, Kobori Sozana, i kazał mu odnotować ten fakt i go sprawdzić. Starszy wioski wydał zgodę, by wykorzystać drewno na opał. Wedle prawa, wszystkie wysokie drzewa należały do *daimyō*, jako budulec – ale to nie powstrzymywało heiminów przed kradzieżą drewna. W tym wypadku trudno się było dziwić, skoro zima była tak sroga.

Wioska Strzelistej Sosny była malutka. Wprawdzie podróżni popasali tu zwykle w drodze na północ, ale Masahige i jego świta byli najwyraźniej pierwsi po tegorocznych roztopach. W nieprzygotowanych pokojach zajazdu zalegały wilgotne i zatęchłe maty tatami, a na kolacje podano im resztki: zbite w grudy proso z korzeniem łopianu.

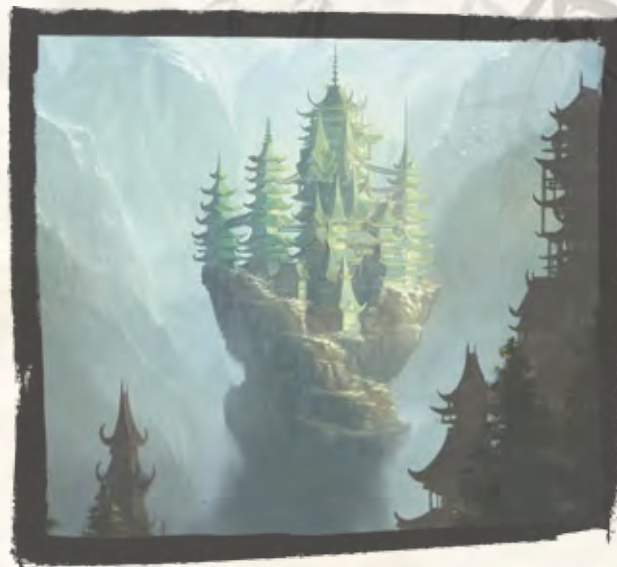
– Gdzie jest ryż? – zapytała ostro Hitomi.

Starszy wioski, Sanjirō, skłonił się głęboko. Hitomi była wysoka, a choć jej okryte zbroją ciało było bardzo szczupłe, mięśnie miała jak postronki. Mogła z łatwością rozedrzeć nieszczęśnika na dwoje, nawet nie dobywając miecza.

– Błagam o wybaczenie dla tej skromnej wioski, Mirumoto-sama – powiedział. – Zeszłej jesieni w naszych spichlerzach zaległy się myszy, które zjadły prawie cały ryż i okropnie zanieczyściły resztę. Udało nam się oszczędzić dla was to proso, ale nie mamy nic więcej.

Hitomi zmarszczyła się gniewnie, ale spojrzała na Masahige, a ten powstrzymał ją, delikatnie kręcąc głową. Sanjirō stał na czele Wioski Strzelistej Sosny od ponad dziesięciolecia i z pewnością nie należał do osób zdolnych paść swych krajanów kradzionym ryżem i kłamać na ten temat *daimyō*. Nie, nieszczęścia wioski były tylko kolejnym znakiem gniewu Niebios.

– Żuraw by zemdlał, jedząc coś takiego – mruknęła Hitomi, ale na tym poprzestała.



Smok nie narzeka na niewygodę, zresztą o tej porze roku posiłki w Shiro Mirumoto wcale nie były znacznie lepsze. Wiosna przyniesie odmianę.

Wiosna i przychylność Tengoku – a Masahige miał nadzieję, że jedno z nich da się wybłagać.

W tak małej wiosce nie było żadnych rozrywek, zwłaszcza po ciężkiej zimie. Po posiłku bushi siedli ramię w ramię wokół paleniska, grzejąc się i cicho rozmawiając. Masahige wymknął się dyskretnie za potrzebą, a jego oddech zamarzał w nocnym chłodzie. Tymczasem na ciepłym południu kwitły już wiśnie.

Mroźne, nieruchome powietrze doskonale niosło dźwięki. W sąsiedniej chacie żona Sanjirō, Yuki, szykowała kolację, mrucząc pod nosem: „Shoshi ni kie. Shoshi ni kie. Shoshi ni kie.”

Masahige poczuł, jak krew tężeje mu w żyłach. *Wierność Małemu Nauczycielowi. Albo, gdy zapisać zdanie innymi znakami, absolutna wiara w Małego Nauczyciela.*

To była mantra Sekty Doskonałego Świata.

Doskonały Świat tutaj, w Wiosce Strzelistej Sosny! Sekta od lat kryła się na rubieżach ziem Smoka, w osadach za małych, by mieć własną nazwę, i tak odległych, że nawet mnisi z Bractwa Shinsei nie zaglądali tam częściej niż dwa razy w roku. Mieszkańcy takich odizolowanych miejsc mieli własne, dziwaczne obyczaje i chętnie ulegali naukom, które zwalniały ich z obowiązku opanowania trudnych rytuałów albo pielęgnowania własnej cnoty. A ta sekta wierzyła, że wystarczy powtarzać imię Shinsei, by wyzwolić się z cyklu powtórnych narodzin.

Oczywiście, że to się podobało chłopom, którzy nie mieli ani czasu, ani wykształcenia, by ściśle przestrzegać wymagań Bractwa. Po co, skoro wystarczą trzy słowa, i Shinsei ich zbawi. Cała praktyka była, delikatnie mówiąc, kontrowersyjna. Feniks całkowicie zakazał odmawiania *kie*, grożąc srogą karą każdemu powtarzającemu mantrę, niezależnie, czy jest chłopem, mnichem czy samurajem. Ogłosili, że to herezja, fałszywa ścieżka, a nie prawdziwa droga do oświecenia.

Masahige nie był teologiem i rozumiał tylko podstawy dyskusji o skuteczności lub nieskuteczności *kie*. Wiedział za to, że zwolennicy Sekty Doskonałego Świata byli ostatnio coraz bardziej aktywni i brutalni. Ale do tej pory kryli się na odludziu, a teraz są tutaj, w ważnym punkcie na północnym gościńcu...

Porzucając inne sprawy, zawrócił do domu.

– Hitomi-kun, pozwól na chwilę.

Bez wahania wstała i wyszła za nim na zewnątrz. Głos zdążył ucichnąć, ale Masahige i tak poprowadził wojowniczkę daleko od ludzkich uszu, zanim opowiedział jej, co usłyszał.

Czy na twarzy Hitomi kiedykolwiek pojawiał się uśmiech? Może kiedyś, zanim straciła brata, ale od tamtej pory zawsze była gniewna. Tak zareagowała i teraz.

– To dlatego nie mieli ryżu? Bo posłali go przywódcom sekty?

– Nie sądzę – odparł Masahige. – Od kilku lat Żuraw sprzedaje bardzo niewiele, więc to normalne, że dla nas nie wystarcza. Bardziej martwi mnie poszerzenie wpływów sekty.

Zwykle Hitomi poświęciłaby całkowitą uwagę jego słowom, ale teraz rozglądała się czujnie,



a jej dłonie błędziły wokół rękojeści obydwu mieczy. Strzelała oczami na lewo i na prawo, w otaczające ich głębokie cienie.

– Podróżując tą drogą musieliśmy stanąć na popas w wiosce. Jeżeli chcą urządzić na ciebie zasadzkę, nie ma lepszego miejsca.

Kolejne doniesienia sugerowały, że sekta nabiera śmiałości, ale chyba nie aż tyle.

– I cóżby zyskali? Zabijając daimyō rodziny Mirumoto ściągnęliby na siebie potępienie całego Cesarstwa.

– Które już ma ich za przestępców – przypomniała Hitomi.

– Tylko na ziemiach Feniksa. Smok nigdy nie potępił sekty. Wiele dróg prowadzi do oświecenia, Hitomi-kun, a jeżeli istnieje szansa, że mantra je przybliży, dlaczegoż jej nie odmawiać?

Zacisnęła szczęki.

– Twierdzą, że znajdą oświecenie po śmierci, w raju, który rzekomo stworzył dla nich Shinsei – wycedziła. – Ludzie, którzy w to wierzą, nie zawahają zaryzykować życia w walce z nami.



Mogła mieć rację. Ostatnie raporty sprzed zimy donosiły, że wyznawcy sekty zaczęli się zbroić. Obok wygłodniałych wilków i powszechnych późną zimą band rozbójników, stanowili kolejny powód, dla którego Masahige podróżował w zbroi. Przywódcy Sekty Doskonałego Świata ogłosili rzekomo, że świat wszedł w Epokę Zmierzchu Cnoty, i że stało się tak ze względu na przewiny samurajów. Takie słowa ocierają się o zdradę, a nawet są otwartą zdradą.

Masahige westchnął głęboko i mroźne powietrze zakłuło go w płuca.

– Co radzisz, Hitomi-kun?

– Powstrzymaj sektę, zanim zapanuje tu korzenie, Mirumoto-ue – odparła bez wahania. – Zgromadzimy wszystkich heiminów i dowiemy się, kto odmawia mantrę. A potem uczynimy z nich przykład, by reszta wiedziała, czym grożą kontakty z Doskonałym Światem.

Miał siedmiu bushi i ich ashigaru, mógł z łatwością posłuchać rady Hitomi. Wprawdzie nie dało się poprowadzić wojska w niedostępne rejony gór, ale tu, na miejscu, mógł łatwo przeprowadzić pacyfikację.

Ale to nie rozwiąże problemu. Ulegając Hitomi, mógł doprowadzić do zbrojnego powstania, a tego właśnie próbował uniknąć. Ale jeżeli jej nie posłucha, jaką cenę zapłaci Smok w przyszłości? Jaką cenę zapłaci Cesarstwo?

Masahige zacisnęła szczęki. Przed oczami stanął mu obraz własnego syna, klęczącego obok Sanjirō i Yuki i odsłaniającego szyję w oczekiwaniu na cios kata.



– Nie postępujemy pochopnie – powiedział w końcu. – I tak postanowiłem przedstawić tę sprawę czempionowi klanu. Opowiem mu też o sytuacji w Wiosce Strzelistej Sosny i zdam się na jego decyzję.

Widział, że Hitomi się to nie podoba. Zawsze chciała działać od razu, nie bacząc na ryzyko. Ale jej dyscyplina była silniejsza niż gniew, więc skłoniła się i wymruczała:

– Cokolwiek każesz, mój panie. Konie będą gotowe do drogi o pierwszym brzasku. A dziś będziemy trzymać warty.

Masahige nigdy nie ośmieliłby się krytykować mądrości boskiego założyciela klanu. Kami Togashi i wszyscy jego następcy preferowali życie w odosobnieniu. Postanowił szukać go wśród niedostępnych szczytów na obrzeżach ziem Smoka, w górach zwanych Wielkim Murem Północy. Wprawdzie utrudniało to znacznie kontakty z czempionem, ale na pewno były po temu dobre powody, których Masahige po prostu nie dostrzegał.

Przynajmniej droga zawsze wiodła go prosto, poprzez wąskie skalne półki, w górę stromych zboczy i przez wciąż zasypane śniegiem przełęcze. Tymczasem ludzie zmierzający do Domu Najwyższego Oświecenia bez zaproszenia błędzili po górach tygodniami i czasem przepadali na zawsze.

Dom wznosił się wysoko nad drużyną daimyō. Był w połowie twierdzą, a w połowie klasztorem i trzymał się skał na szczycie niebosiężnej góry jak wczepione pazurami zwierzę. Wiodły do niego wąskie schody, długie na ponad tysiąc stopni. U ich podnóża stało kilka budynków, stanowiąc schronienie dla tych, którym nie dane było przestąpić progu siedziby czempiona. Tam przekazali konie w ręce milczącej grupy nowicjuszy, przygotowujących się do wstąpienia w szeregi ise zumi.

Masahige ruszył schodami sam, zostawiając na dole nawet Hitomi. Na ramieniu niósł sakwę raportów, by przekazać ją w odpowiednie ręce. W każdym innym miejscu Rokuganu takie zadanie uwłaczałoby godności daimyō, ale nie tutaj.

U szczytu schodów czekała na niego samotna postać, która nie drgnęła nawet, gdy Masahige mozolnie piał się w górę. Rozpoznał ją już z daleka, bo nikt inny nie pokazałby się publicznie ubrany wyłącznie w zielone spodnie od *jinbei*.

Togashi Mitsu był niezwykle, nawet wedle miary swego bractwa. W całym Rokuganie samuraje adoptowali dzieci, gdy nie mieli własnych potomków. W myśl tej zasady władzę nad Klanem Smoka zawsze dziedziczył najbardziej uzdolniony ise zumi, niezależnie od pochodzenia. Chłopiec imieniem Sō był podrzutkiem, którego nieznani rodzice oddali do Fukurokujin Seidō. Był tam akolitą, gdy znalazł go Czempion Smoka. I tak Sō został Togashi Mitsu, przyszłym władcą klanu.

Większość dziedziców pojawia się publicznie nosząc kimono lub zbroję, ale Mitsu najchętniej chodził prawie nago, odsłaniając tatuaże, które wiły się na jego piersiach, ramionach, a nawet nogach. Jego ciało zdobiły wizerunki małp i wron, stonóg i ważek, na klatce piersiowej wytatuowano mu wielkiego kraba, a na plecach tygrysa. Wokół szyi i łysek czaszki wił się smok.



Wszystkie rysunki wyszły spod ręki Togashiego Gaijutsu, największego tatuażysty pośród ise zumi.

Zimą Masahige stracił kondycję i z trudem opanował oddech, by nie dyszeć ciężko prosto w twarz następcy.

– Przybywam, by prosić czcigodnego Togashi-ue o posłuchanie.

– Oczywiście – odparł Mitsu. W Domu Najwyższego Oświecenia nigdy nie dziwiono się jego wizytom. – Mam cię do niego zaprowadzić, kiedy tylko będziesz gotów.

Oby to była dobra wróżba. Nawet daimyō rodziny musiał zwykle czekać na posłuchanie przed czempionem. Tym jednak razem Masahige podał sakwę czekającej w pobliżu bramy ise zumi. Najwyraźniej była w zakonie od niedawna, miała bowiem tylko dwa tatuaże: węża i motyla. Następnie ruszył dziarsko za Mitsu w głąb pałacu.

W przeciwieństwie do większości twierdz Rokuganu, Domu Najwyższego Oświecenia nie broniły kamienne mury i głębokie fosy. Jego pierwszym bastionem były niezdobyte góry, drugim zaś ścieżka, która często kryła się przed ludzkim wzrokiem. Gdyby ktokolwiek sforsował te przeszkody i wciąż chciał zaatakować dom czempiona, musiałby ruszyć wąskimi schodami albo wspinać się po stromej skale. A więc w miejscu, gdzie inny czempion wybudowałby strażnice, tu wznosiły się świątynie i ogrody medytacyjne. Zamiast zbrojowni i koszar ashigaru zbudowano kwatery obdarzonych dziwnymi mocami ise zumi. Panowała tu atmosfera niezmaconego spokoju, którą przenikała dziwna, nieziemska aura, lgnąca do daimyō jak pajęczyna.

Zdjął wreszcie zbroję, której noszenie byłoby nie na miejscu w spokojnym klasztorze, i szybko się wykąpał. Potem wdział proste kimono i hakamę, które mu przyniesiono. Wprawdzie dotkliwie kąsał go zimny wiatr, ale zignorował chłód i skoncentrował się na zadaniu.

Togashi Yokuni, Czempion Klanu Smoka, nie podjął Masahigego w sali audiencyjnej, ale na odkrytej platformie u szczytu stromego urwiska, które zastępowało zewnętrzne mury. W przeciwieństwie do skromnie ubranego daimyō, nosił pyszną zbroję pradawnego wzoru, z osobnym panelem osłaniającym szczelnie prawą stronę ciała. Miał też hełm i *mempo* zakrywającą twarz – Masahige nigdy nie widział go w innym stroju. Choć nie miał zamiaru

porównywać własnego czempiona do niehonorowych władców Klanu Skorpiona, czuł się nieswojo, służąc człowiekowi, który zawsze ukrywał oblicze.

Mitsu klęknął w pewnej odległości od siedzącego ze skrzyżowanymi nogami czempiona, a Masahige skłonił się głęboko, dotykając czołem kamiennej podłogi. Ostre górskie powietrze mroziło jego nagą głowę.

– Panie, choć zima nie odeszła jeszcze na dobre, twoja kraina nie może czekać dłużej. Błagam o pozwolenie na złożenie



sprawozdania.

Delikatny gest rękawicy Yokuniego oznaczał przyzwolenie.

Masahige był jak malarz, który maluje kontury i najważniejsze kształty, a detale pozostawia wyobraźni. Bardzo sroga zima, rosnące zagrożenie ze strony Lwa na południu. Spadająca liczba narodzin. Niebezpieczna Sekta Doskonałego Świata. Ze wszystkich stron na klan napierają wielkie siły, grożąc, że go zmiażdżą.

– Togashi-ue – przekonywał Masahige – musimy sięgnąć poza nasze granice i zawrzeć sojusz z Feniksem. Osobno, nasze klany padną łatwym łupem Lwa, ale wspólnie zdołamy stawić opór. Nadto, wysiłki, które czynimy, by zrozumieć przyczynę topnienia naszych szeregów, spełzły na niczym, a jeżeli jakiś klan dysponuje mądrością konieczną, by rozwiązać zagadkę, jest to Feniks. Ale nie przyjdą nam z pomocą, jeżeli nie pójdziemy na pewne ustępstwa, a to stawia nas przed wyborem.

– Feniks – ciągnął – może zażądać zerwania stosunków z Jednorożcem. Isawa wciąż patrzy podejrzliwie na magię meishōdō, której używają Iuchi, oraz inne heretyckie praktyki tego rodu. Ucieszy ich, gdy zamkniemy zachodnią granicę. Ale na razie osłania nas wojskowa potęga Jednorożca, a dzięki licznym z nim mariażom włączamy do naszego klanu wdowy i wdowców razem z dziećmi. Bez nich rzucimy na szalę naszą przyszłość, dostając w zamian ledwie nadzieję, że Feniks zdoła rozwiązać nasz problem.

Przerwał. Choć nawet daimyō rodziny nie mógł spojrzeć czempionowi w oczy, przyglądał się postawie Yokuniego w nadziei, że jakiś drobny ruch zdradzi jego myśli. Ale ukryty pod ciężką zbroją władca siedział jak wykuty z kamienia. Masahige musiał mówić dalej.

– Jest też druga możliwość pozyskania przychylności Feniksa: wyjęcie spod prawa Sekty Doskonałego Świata, o co proszą nas od lat. Jeżeli pozbedziemy się heretyków, o ile oczywiście uznasz ich za heretyków, panie, Shiba Ujimitsu-dono na pewno odwdzięczy się za gest przyjaźni wobec swego klanu.

Yokuni wreszcie przemówił.

– Kiedy zboże opada z kłosów, nim nadejdą żniwa, zbiory są ubogie i nadchodzi głód.

Czy chodzi mu o to, że jeszcze nie pora działać? Masahige od lat spotykał się z czempionem, ale mimo to z trudem rozumiał jego enigmatyczne odpowiedzi. Tym razem jednak znaczenie wydawało się jasne. Choć żaden samuraj nie boi się śmierci, każde stracone życie zmniejsza siłę klanu w czasach, gdy musi pozostać silny.

– Tak, koszt byłby wysoki. Trudno prowadzić wojnę w niedostępnych dolinach, a wyjęcie sekty spod prawa może wywołać otwarty bunt. Ale jest jeszcze jedna możliwość – uklonił się Yokuniemu głęboko. – Togashi-ue, słyszałem opowieści o ise zumi, której niezwykle talenty mogą oszczędzić nam rzezi. Powiadają, że kiedy Togashi Kazue-san z kimś rozmawia, jej słowa wypełniają umysł tak, że nie podobna myśleć o niczym innym i traci się całą wolę walki. Jeżeli to prawda, mogłaby unieszkodliwić przywódców sekty, przez których jest tak groźna. Gdy ich nie stanie, zapewne z powodzeniem zawrócimy zwykłych chłopów na prawdziwą drogę Shinsei, nie



przelewając krwi.

Choć Yokuni nie dał żadnego znaku, nagle przemówił Mitsu.

– Zdolność Kazue-san to niebezpieczna rzecz, Mirumoto-ue. Śmierć niszczy tylko ciało, a każdy, kto poległ w służbie Niebios, może poprawić swoją karmę w następnym życiu. Ale odmiana umysłu... to całkiem inna sprawa.

– Nie mam zamiaru igrać z jej mocą – odparł Masahige, pomimo wysiłków nie panując nad ostrym tonem – i gdyby na szali leżało kilka śmierci przeciw kilku umysłom, nie zawahałbym się dobyć miecza. Ale waży się przetrwanie klanu. Cóż znaczy wobec tego garstka zbuntowanych heretyków?

Albo życie jednego dziecka?

Masahige odwrócił się od mnicha, ponownie przyciskając czoło do kamieni w postawie pokornego błagania. To działo się zbyt często: Masahige ugiął się pod ciężarem kłopotów, których nie miał władzy rozwiązać, a tymczasem Yokuni, który tę władzę posiadał, siedział w absolutnej ciszy. Tymczasem świat wokół nich zmierzał z każdą chwilą ku krawędzi.

– Proszę, Togashi-ue – powiedział Masahige tak stanowczo, jak umiał. – Błagam, zezwól, by Togashi Kazue-san mi pomogła. Dzięki niej unikniemy masakry.

Odpowiedział my jedynie świst wiatru.

I nagły grzechot zbroi.

Masahige uniósł rozpalony nadzieją wzrok. Ku swemu przerażeniu zobaczył, że Yokuni stężał dziwnie i drży pod pradawnym pancerzem, a jego głowa niebezpiecznie odchyła się do tyłu.

– Spokojnie – Mitsu uspokajająco skinął dłonią. – Nie ma się czego bać. Zaraz będzie miał wizję, to wszystko.

Masahige wiedział, że Czempioni Smoka dziedziczą dar prorokowania swojego założyciela, ale nigdy nie widział, jak to się dzieje. Czekał z zaciśniętymi pięściami, wstrzymując oddech. *A więc nareszcie! Powie mi, co mam robić, i będzie miał słuszną, bo poprowadzą go Niebiosy.*

Czekali całą wieczność, aż wreszcie ciało Yokuniego przestało dygotać i zwiotczało. Mitsu przyskoczył do boku czempiona, ale ten nie potrzebował pomocy. Uniósł dłoń do mempō, ale zaraz ją opuścił.

– Widzę falę – powiedział ledwie słyszalnym na wietrze głosem. – Ogromną falę, która wzbiera, by uderzyć w całą krainę.

Masahige widział morze wyłącznie na obrazach. Ale doskonale wyobrażał sobie kształt, o którym mówił Yokuni: wspięty łuk, zawisły jak ogon skorpiona.



– Gdy uderzy... – głos Yokuniego ścichł do szeptu, a potem znów zyskał moc. – Zniszczenie. Otosan Uchi w gruzach. Nieprzeliczone morze zabitych.

Kolejne tsunami? Masahige drgnął. Po dziś dzień zmagano się ze skutkiem fali, która trzy lata temu uderzyła w wybrzeża Żurawia, to przez nią panował głód, a Skorpion znaczył coraz więcej na dworze. Żywiol nie sięgnął wtedy Cesarskiej Stolicy, ale tym razem mogło być inaczej.

– Natychmiast wyślę posłańca do Kitsuki Yaruma-san – powiedział. – Przekaze ostrzeżenie Cesarzowi.

Ale Yokuni pokręcił głową i ciągnął.

– Spustoszona przez falę ziemia staje się polem bitwy. Na ogołoconej równinie wróg nie zdoła się ukryć i nic nie osłoni go przed potęgą Cesarstwa. To... – choć oczy czempiona ginęły w mroku pod maską hełmu, Masahige odniósł wrażenie, że władca patrzy przez niego na wskroś, ku ziemiom za granicami Smoka.

– Rzecz musi się dokonać – mamrotał Yokuni. – Skoro bitwa ma się rozpocząć, toczmy ją na jałowej równinie. Tylko tak możemy zwyciężyć.

A więc nie prawdziwa fala. Nie tsunami. Yokuni użył metafory i przewidział coś całkiem innego.

Coś, bał się Masahige, zupełnie bez związku z bieżącymi kłopotami. Tymczasem czempion wreszcie przemówił do niego wprost.

– Przygotuj swoich bushi. Powiedz daimyō rodzin Agasha i Kitsuki, że pora wreszcie opuścić nasze granice. To, co dzieje się w naszych górach, jest zaledwie kamyczkiem zapowiadającym nadchodzącą lawinę.





Togashi Yokuni, tajemniczy Czempion Klanu Smoka

